ZANIM NASTANIE ŚWIT

ZANIM NASTANIE ŚWIT

Córki imama #1

EDYTA KENE

Copyright © by EDYTA KENE
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)
Korekta: Agnieszka Liszowska
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Projekt graficzny książki: K&K Designer
Fotografia na okładce: freepik.com

ISBN Papier: 978-83-68147-54-4
ISBN Ebook: 978-83-68147-56-8
ISBN Audio: 978-83-68147-55-1

Moje Wydawnictwo

Strona: www.mojewydawnictwo.pl
Email: wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
Instagram: mojewydawnictwo
X: mojewydawnictwo
TikTok: moje.wydawnictwo
Facebook: mojewydawnictwo

Pamiętajmy, że zło może czynić każdy i dobra można doświadczyć od każdego. O naszym sercu nie decyduje kraj pochodzenia, religia, poglądy polityczne. Te siły mogą mieć na nas wpływ, ale to my jesteśmy panami swego losu. To my decydujemy, czy należy wybrać to, co dobre, czy to, co łatwe.

Książka nie jest przewodnikiem po wierze Islamu. Muzułmaństwo opisane w książce nie ma na celu obrażenia wiary w Allaha. Jest jedynie narzędziem do stworzenia klimatu i pokazania, że o tym, w jaki sposób będziemy postrzegani, decyduje nasz wewnętrzny kodeks zasad moralnych.

Wszystkie historie opisane w książce są fikcyjne. Podobieństwo do osób lub zdarzeń rzeczywistych nie było zamiarem Autorki.

Rozdział 1
ZAYD

Śmierć. Dopiero to słowo do mnie dotarło. Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na lekarza. Miałem nadzieję, że się przesłyszałem.

– Czy może pan powtórzyć? – poprosiłem spokojnie, chociaż moje ciało dawało niewerbalne informacje, że to, co właśnie usłyszałem, rozjebało mnie na atomy.

– Wyniki tomografii wskazują, że pana głowa nie wytrzyma kolejnych ciosów, panie El-Mani – poinformował z troską. Współczuł mi, czułem to, lecz nie potrzebowałem współczucia, a pierdolonego cudu! – Ciśnienie śródczaszkowe doprowadzi do udaru, paraliżu, wylewu… a nawet do śmierci.

– Czyli to nie było zwykłe omdlenie – westchnął Samir i pokręcił głową. – Cholera, żebyśmy wiedzieli, że to ostatnia walka, to byś poszedł na czołówkę z jakimś mistrzem, a nie graczem stanowym.

Przeniosłem wzrok na brata i wlepiłem w niego gały niczym sęp w padlinę. Miałem nadzieję, że on kpi – w końcu rozmawialiśmy o moim zdrowiu, kurwa, życiu!

– A może by tak… – oblizał nerwowo usta – …tak jeszcze jedną, pożegnalną walkę zorganizować, co? – Mrugnął do mnie

znacząco. – Przecież zemdlałeś już kilka razy, więc jeszcze jedna ci nie zaszkodzi.

– Popierdoliło cię?! – wrzasnąłem, aż lekarz wypuścił z rąk podkładkę z dokumentami. – Przepraszam – zreflektowałem się i nieśmiało podrapałem po potylicy. – Proszę nie słuchać tego idioty, jest wciąż pod wpływem… – chrząknąłem – …szoku.

– Rozumiem – mruknął i rzucił w moim kierunku czujne spojrzenie. – Decyzja należy do pana, ale jak najbardziej odradzałbym kontynuowanie kariery.

– Jasne – westchnąłem posępnie.

– Radziłbym też konsultować się neurologicznie – podpowiedział lekarz. – Obecny stan wstrząsu mózgu to jeszcze nie CTE[1] i nagromadzone białko rozgonimy lekami, ale… zalecam, aby tego nie bagatelizować. Proszę też pamiętać, że kolejny cios nie musi się skończyć jedynie udarem, wylewem, czy śmiercią. CTE jest nieodwracalne i na tym powinien się pan skupić, panie El-Mani.

– Skupię się na tym – zapewniłem go solennie. Przy okazji samego siebie. – Mogę wrócić do domu?

– Tak, dam skierowanie do poradni neurologicznej i proszę nie zwlekać z konsultacją.

Potaknąłem i uśmiechnąłem się słabo. Dobrze, że mój menadżer był z natury zapobiegliwym człowiekiem i wykupił mi dosyć kosztowne ubezpieczenie. Wprawdzie na brak kasy nie mogłem narzekać, ale nie należałem też do ludzi rozrzutnych. Zawsze wiedziałem, że dobra passa jest dana na określony czas. W naszej rodzinie mówiło się na to: „Allah cię widzi. I dopóki cię widzi, to ci sprzyja".

– Poczekamy na korytarzu.

Wyszedłem z gabinetu doktora, nie czekając na brata. Musia-

[1] Chroniczne uszkodzenie mózgu (CTE, *Chronic Traumatic Encephalopathy*) – neurodegeneracyjna choroba, która rozwija się w wyniku wielokrotnych, powtarzających się urazów głowy. Z czasem może prowadzić do zmian w strukturze mózgu, takich jak nagromadzenie białka tau. Objawy CTE to m.in. problemy z pamięcią, zaburzenia nastroju, depresja, agresywne zachowania oraz trudności w kontrolowaniu impulsów.

łem pochodzić przez chwilę. Sport to było całe moje życie, lecz nie byłem lekkoduchem. Poza tym czułem, że walka sprzed prawie siedmiu miesięcy odcisnęła piętno na moim zdrowiu. Szybciej łapałem zadyszkę, miewałem problemy z koncentracją, czasami budziłem się, jakbym był na kacu, chociaż nie piłem alkoholu. Szybko wpadałem w dziwne stany podłamania, wyobrażałem sobie, że czemuś nie podołam. Myślałem, że to problem z psychiką, a rozwiązanie było banalnie proste – mózg nie wyrabiał, bo oberwałem w niego tyle razy, że wzniecił bunt. Dwa pierwsze omdlenia zbagatelizowałem, ale dzisiaj to był na serio *hardcore*. Siedziałem na kanapie, uniosłem drinka, odchyliłem głowę i pociągnąłem spory łyk. Reszty nie pamiętam.

– Zayd! – krzyknął Samir, ale udałem, że go nie słyszę. Szedłem szybko wzdłuż korytarza. Chciałem dojść do jego końca i zawrócić. I tak kilka razy. Ruch zawsze mnie odprężał, lecz nie tym razem. – Zayd, pieprzony głucholu! – zaśmiał się.

Obróciłem się na pięcie i mało co się nie zderzyłem z tym kretynem.

– Jeszcze jedna pożegnalna walka? – syknąłem i postukałem go palcem w czoło. – Czy ty na pewno jesteś moim bratem, czy cię na porodówce podmienili?

– Może to ciebie podmienili? – zapytał z przekąsem, lecz widząc moje wkurwienie, w końcu spoważniał. – Wolisz, bym się nad tobą użalał? – W jego głosie wyczułem pretensję. – To może zadzwonię po Dalię, ona to nawet nad tobą zapłacze – prychnął, wspominając o młodszej siostrze.

– Nie dzwoń do Dalii – odparłem beznamiętnie. – Do rodziców też nie dzwoń.

– A…

– Nie pisz im o tym, nie ślij informacji morsem, nie baw się w rebus zgadywankę i nie chcę, byś im o tym mówił wprost! – zaznaczyłem twardo.

– A mogę… – Brat nie chciał ustąpić.

– Mają się nie dowiedzieć, rozumiesz?! – Złapałem go za poły bluzy i delikatnie uniosłem nad ziemią.

– Ja chcę tylko zapytać, czy swojej byłej mogę powiedzieć – stęknął, po czym się wyszczerzył.

– Jesteś idiotą. – Pokręciłem głową i go puściłem.

Brat poprawił ułożenie bluzy i posłał mi krzywy uśmiech.

– Ale kąciki ust ci się uniosły – stwierdził słusznie, bo jego pogoda ducha i postawa żartownisia odrobinę oddaliły mnie od trosk.

– Panie El-Mani! – doszedł nas głos lekarza. Spojrzałem w jego kierunku i ruszyłem z powrotem w tamtą stronę. – Zapomniał pan, skierowanie.

– Nie, nie zapomniałem – zaprzeczyłem szybko, tak jakbym chciał zaprzeczyć zjawisku demencji. – Poszedłem na spacer – zażartowałem, ale lekarz chyba nie podchwycił mojego humoru. – Dziękuję. – Odebrałem świstek.

– Nie musi pan całkowicie rezygnować ze sportu – dorzucił, gdy już miałem ruszać do windy.

– A w jakim zakresie? – zaciekawiłem się, bo jak na razie odniosłem wrażenie, że to koniec kariery.

– Nadal zalecam rezygnację z boksu zawodowego – zastrzegł na wstępie – ale może pan przejść w stan spoczynku i szkolić nowe pokolenie.

Westchnąłem głośno i pokręciłem głową. Nie byłem gotowy na taką rozmowę z samym sobą. Wiedziałem, że nie będę już walczył, tylko czy potrafiłbym wejść na ring i instruować dzieciaka ze świadomością, że kiedyś byłem na jego miejscu? Że nie żałuję, pomimo problemów ze zdrowiem? Że gdyby nie one, moja kariera wciąż by trwała?

– Oglądałem pana od pierwszej walki, kiedy ogłoszono, że młody bokser z Francji zasili kadrę florydzkich młodzików – kontynuował z podziwem lekarz. – Późniejsze starcia stanowe, ogólnokrajowe – rozmarzył się. – To jest dar i ogromny talent. Mógłby pan przekazać swoją pasję i miłość do boksu innym.

– Pomyślimy – mruknąłem nieprzekonany do tej wizji.

Z duszą na ramieniu opuściłem klinikę i wsiadłem do auta brata. W drodze do domu postanowiłem zadzwonić do człowie-

ka, któremu niestety musiałem się zwierzyć ze swojej choroby. Było już po północy i James wydawał się być zafrasowany telefonem o tej porze, bo nigdy nie sprawiałem problemów i ogólnie ze mnie to był grzeczny chłopak: nie ćpałem, piłem okazjonalnie, zaliczałem świadome laski, pamiętając o gumce. Nie przynosiłem mu wstydu i żadna z moich byłych „przygód" nie oskarżyła mnie o cokolwiek, choćby ślad znęcania – chodzący ideał, wymarzony zawodnik. Dlatego przystał na propozycję spotkania, bez smęcenia, że pojawi się rano. A ja chciałem kuć żelazo, póki gorące.

Zdążyliśmy podjechać pod mój dom, a na podjeździe pojawiło się również auto mojego menadżera. James wysiadł z pojazdu i uniósł obie brwi.

– Ty jeszcze nie w łóżku? – zakpił i ruszył w moim kierunku. – Co było aż tak ważnego, że…

– Wejdź – zaproponowałem oschle, następnie otworzyłem frontowe drzwi. – W progu nie będziemy rozmawiać.

– Zrobić mu drinka? – wtrącił Samir swoim pogodnym głosem i ruszył w kierunku części kuchennej. – Może lepiej…

– Siadaj, idioto, i pij, ale już nie peplaj! – warknąłem, bo działał mi wyjątkowo na nerwy. Przeszedłem za menadżerem do części salonowej i usiadłem w fotelu.

– Nie pe…, co? – zdziwił się Samir i uniósł niedopitą whisky.

– Stul dziób! – nakazałem ostro.

– Stulam, stulam – fuknął pod nosem i odłożył butelkę, po czym ruszył w naszym kierunku. – Dobra, już mu powiedz, że to koniec kariery, skoro nie masz zamiaru znieczulić go alkoholem.

– Zabiję – syknąłem wściekły, że mój brat zawsze musi wszystko spierdolić.

– Co?! – krzyknął z zaskoczenia James. – To jakiś dowcip, tak? – zachichotał nerwowo i siadł na kanapie, odchylił się w jego kierunku i zastygł. – Jaja sobie robisz?

– Niestety mój przygłupiasty brat mówi prawdę – szepnąłem w eter. – Zadzwoniłem, by cię poinformować, że to koniec kariery.

– Nie przygłupiasty – zaprotestował Samir, zajmując miejsce obok Jamesa – tylko szczęśliwy. – Wyszczerzył się. – Rozwiodłem się, więc może pójdziemy na panienki?

– No, debil po prostu – rzuciłem sam do siebie i złapałem się za głowę, kładąc ją na oparciu, ale szybko wróciłem do poprzedniej pozycji, czując delikatne zawroty. – Zabić to za mało.

– Zabić – zakpił mój brat. – Przecież ty walczyć nie możesz! Poza tym to już czas, żeby oblać mój rozwód i…

– Jakie, kurwa, nie możesz walczyć? – James był totalnie skonfundowany.

Zerkał raz na mnie, raz na niego.

– Zemdlałem – wypowiedziałem szybko, nie dając szansy Samirowi, bo byłby gotowy pajacować nadal. – Miałem dziwną konwulsję, ale w końcu się ocknąłem.

– I zawiozłem go do kliniki – wtrącił brat.

– Co wyszło? – Mój menadżer przybrał minę adekwatną do sytuacji. Powaga.

– Nie znam się na tych medycznych pierdołach, ale kolejne ciosy doprowadzą do choroby, w następstwie do nieodwracalnych zmian, gdzie mózg przestanie się regenerować. Mój obecny stan zdrowia wskazuje na to, że nawet jeden cios może spowodować udar, wylew, a nawet śmierć. – Ostatnie słowo padło ledwo słyszalnie. – Wiesz, że kocham boks, ale nie jestem idiotą.

– Zdecydowanie nie jesteś – potwierdził poważnie i wczuł się w rolę. – Przykro mi, Zayd… – Spojrzał na mnie z troską i westchnął: – Twoja kariera… Kurwa, na serio jest mi przykro.

– Bo się popłaczę – wtrącił wzruszonym głosem Samir.

– Rozumiem, że ostatnia twoja walka rzeczywiście była tą ostatnią. Musimy to jakoś rozegrać, sprawdzić nasze plany, pogadać z innymi. Ustalić, kiedy to ogłosisz. – James zbagatelizował te wygłupy i olał je, jakby gościa obok nas nie było. – Planujesz zostać trenerem? Wiesz, że wynegocjuję dla ciebie najlepszą stawkę.

– Nie, chyba nie – zaprzeczyłem nie do końca przekonany, ale nie widziałem się w tej roli. Brakowało mi wielu cech nauczy-

ciela, w tym tej jednej, najważniejszej: cierpliwości. – Samir ma szkołę surfingu, więc mu zrobię konkurencję na wschodnim wybrzeżu – rzuciłem pierwszą z brzegu myśl. – Albo kupię jakieś grunty i pobawię się w deweloperkę – dodałem z przekąsem.

– Bierz się za surfing, bracie! – Samir uniósł szklankę z napojem. – Ależ ja zajebiste dupy wyrywam na tych lekcjach. – Fiuknął uradowany. – I macanie nie jest molestowaniem, to tylko nauka poprawnej pozycji na desce.

Skrzywiłem usta. Jakoś mnie nie ciągnęło do surfingu, ani do wyrywania dup. Nigdy nie byłem z żadną kobietą na poważnie. W dużej mierze to była wina rodzaju uprawianego przeze mnie sportu, ale i mojego zaangażowania w boks. Nie chciałem się niepotrzebnie rozpraszać, skazywać na kobietę, która z czasem zaczęłaby zrzędzić, że to bestialstwo, że ona się martwi, że kiedyś nie wrócę i serwować mi inne takie smęty. Po trzydziestce zacząłem żałować swoich decyzji, bo większość zawodników miała żony, dzieci i jakoś funkcjonowała. Ja miałem liczne przygody i partnerki, których imion nawet nie pamiętałem, i nic poza tym. Dotarło do mnie, że trochę to smutne.

– Chyba chciałbym się ustatkować – wyrwało mi się.

– Ja pierdolę! – zaśmiał się wrednie Samir. – Człowieku, odradzam. Miałem żonę, słuchaj się mnie!

– Ale ją zdradzałeś! – syknąłem.

– A ona mnie! – Wzruszył ramionami. – Remis!

Nie skomentowałem, bo nie wiedziałem, czy on to zrobił pierwszy, czy zdradził Monicę, wiedząc o jej zdradzie.

– Za późno się obudziłeś, książę – sarknął brat. – Żyłeś pod kamieniem prawie osiemnaście lat i nawet nie wiesz, jak zaprosić laskę na randkę, a do oświadczyn, u la la la, czterdziestka ci stuknie jak nic. Później z dwa lata narzeczeństwa, ślub i szybkie robienie potomstwa, by zacny ród El-Mani przetrwał i dalej mógł krążyć po tym łez padole.

Niestety brat miał rację. Miałem trzydzieści pięć lat. Od szóstego roku życia ćwiczyłem boks. Gdy miałem trzynaście lat, wzięto mnie pod skrzydła klubu dla młodzików, kiedy jeszcze

mieszkaliśmy we Francji. Później zaproponowano mi wieloletni kontrakt w Stanach i praktycznie od siedemnastego roku życia moim jedynym sensem życia był boks. Poza tym, kiedy miałem nauczyć się zdobywać kobiety, skoro same do mnie przychodziły?

– Czekaj! – wyskoczył z entuzjazmem Samir. – Ja chyba znalazłem rozwiązanie.

– Jestem niezmiernie ciekaw twojego kolejnego, pojebanego pomysłu.

Brat niezrażony moją złośliwością wyjął telefon i zaczął surfować po internecie.

– Szukałem kiedyś porno z arabkami – mruknął, wciąż przewijając coś palcem.

– Coś ty, kurwa, szukał? – syknąłem zdegustowany, bo chociaż mieszkaliśmy daleko od kraju przodków, urodziliśmy się w rodzinie arabskiej. Ojciec i matka byli Marokańczykami, my również. Byliśmy *muslim*, chociaż z lekko zatartymi tradycjami.

– Arabskiego porno – żachnął się. – No, co? Byłem ciekaw, jak one z tym turbanem na głowie i z odsłoniętym dołem… Czy są wygolone, czy takie jak dżungla…

– Jesteś po prostu obleśny! – Zachowanie brata mnie zawstydziło, na co James zachichotał.

– Jestem remedium na twój problem! – zakomunikował niezrażony Samir i podał mi telefon. – Oto rozwiązanie.

– Co to? – zdziwiłem się, patrząc na kilkanaście fotografii kobiet w hidżabie.

Zacząłem skrolować.

– Potencjalne panie El-Mani – odparł skwapliwie. – Do wyboru, do koloru. Stronka biura matrymonialnego w Maroko.

– Weź to i zabieraj ode mnie. – Miałem ochotę szybko oddać telefon, ewentualnie roztrzaskać na jego pustym łbie.

– Ale z ciebie kretyn – fuknął. – Przejrzyj chociaż!

– Nie chcę żony z ustawianego małżeństwa! – ryknąłem.

– Kurwa, przecież słyszę, nie drzyj się – wymamrotał zawiedziony. – Z twoją sławą to na pewno znajdziesz taką, co będzie odpowiednia – mruczał pod nosem. – Przecież nikt cię nie bę-

dzie kategoryzował, żadna lala nie poleci na ciągnący się za tobą *fame*, o kasie nie wspomnę.

Kolejny raz ten dupek miał rację. Musiałem liczyć się z konsekwencjami sławy. Decydując się na konkretną laskę zawsze bym miał gdzieś z tyłu głowy, czy poznana kobieta na pewno jest zainteresowana mną, czy pozycją, jaką jej mogę zapewnić. W tym momencie wskazanie konkretnej partnerki przestało wydawać mi się popieprzonym pomysłem.

– A w sumie… co mi szkodzi sobie popatrzeć.

Większość z kobiet miała hidżab[1], niektóre jedynie szajlę[2], a nieliczne odkrytą głowę. Były piękne i każda z nich miała dosyć mocny makijaż, jakby nie rozumiały, że w naturalnym wydaniu są jeszcze piękniejsze. Rzesza z nich była dla mnie za młoda, a te starsze nie przyciągały mojej uwagi, jednakże widząc informację „osiemnaście lat", nawet nie zerkałem na twarze, tylko szukałem dalej.

Byłem już na szóstej stronie, co oznaczało, że ponad sto kobiet nie przypadło mi do gustu. Później kolejne dwadzieścia kandydatek, i kolejne. Tak naprawdę szukałem najmniejszych mankamentów, aby niektóre odrzucić. Krzywy nos, wąskie usta. Dyskredytowałem nawet za brązowe i czarne oczy, które były najpopularniejsze w Maroku. Lecz na dziewiątej stronie moją uwagę przykuło spojrzenie dwudziestotrzyletniej kobiety w hidżabie. Nie miałem się do czego doczepić, nawet makijaż był znikomy, a oczy… Ujrzałem oczy w kolorze płynnego złota.

– Czy mi się zdaje, czy ciebie swędzą jajka? – zakpił Samir i również zawiesił wzrok na dziewczynie. – Czyżby przyszła pani El-Mani? – Uniósł sugestywnie brwi.

Debil! Nie, „debil" to komplement dla tego kretyna!

---

[1] *hidżab* (arab.) – chusta służąca do okrycia głowy, zasłaniająca włosy, uszy, szyję oraz piersi. Widoczna jest tylko twarz.

[2] *szajla* (arab.) – chusta zakrywająca głowę i jest zarzucona na ramię. Może lekko odsłaniać włosy.

Rozdział 2

SARA

– Pobawmy się – jęknęła teatralnie Nadia i spojrzała na mnie z nadzieją.

– Nie dam rady – odparłam smutno i poprawiłam ułożenie siatek. – Czekają nas jeszcze dwa kilometry – uprzedziłam, bo trasę znałam na pamięć. – Jestem już zmęczona – westchnęłam ciężko i kolejny raz próbowałam tak ułożyć siatki, aby ich rączki nie wbijały mi się w dłonie.

– Mogę ci pomóc! – zaproponowała Maya.

Pokręciłam jedynie głową, bo i Nadia spojrzała na mnie tak, jakby była gotowa przejąć ode mnie bagaż. Mnie wystarczyło, że jedna niosła butelkę z oliwą z oliwek, którą udało się nam wytłoczyć na miejscu, a druga taszczyła melona. Maya miała trzynaście lat, Nadia o rok mniej. Wprawdzie były chętne do pomocy i cechowała je siła oraz wytrwałość, ale nie miałam sumienia ich wykorzystywać. Pragnęłam, aby ich dzieciństwo trwało jak najdłużej.

– Za dwa miesiące ramadan, zbierajcie siły – orzekłam, z czym już nie dyskutowały.

Szłyśmy w ciszy, a jedynym odgłosem były nasze sapnięcia i szuranie espadryli. Droga spod sklepu dziś wyjątkowo nam się

dłużyła. Wstałyśmy o świcie, kiedy muezin zaśpiewał poranne *Adhan*[1]. Droga z domu zajęła nam zaledwie dwadzieścia minut. O świcie było tylko dwadzieścia stopni Celsjusza, więc dwa kilometry okazały się przyjemnością. Późniejsze zbieranie oliwek też nas nie wymęczyło, ale ręczne tłoczenie oliwy dało mi się we znaki.

Dziewczynki poszły do pobliskiego sklepu i zrobiły kolejne zapasy. Kiedy wszystko kupiły, okazało się, że mamy trudności z zabraniem dobytku. Zazwyczaj nie prosiłam sióstr o pomoc, tym razem musiałam z niej skorzystać. Melon i oliwa były ponad moje możliwości. Słońce grzało z pełną mocą, było ponad czterdzieści dwa stopnie. Z wielkim trudem wykonywałam kolejne kroki. Tylko świadomość, że nikt tego za mnie nie zrobi, pozwoliła mi na zebranie sił i powrót.

– Bardzo grzeje? – zapytała z troską Sana, moja o rok starsza siostra.

– Nie chcesz wychodzić na zewnątrz – prychnęłam i rozwinęłam hidżab. – Muszę się umyć, bo nie dam rady.

– Nalałam wodę do balii – oznajmiła i spojrzała na mnie nieśmiało. – Przepraszam, że nie poszłam za ciebie.

Chciałam to jakoś skomentować, bo Sana była świetną aktorką. Dzisiaj bolał ją brzuch, jutro będzie to noga, a pojutrze… – cóż, do tego czasu coś wymyśli. Nie miałam jednak sumienia nakazać jej wędrówki i założyłam, że tym razem mówi prawdę.

– Jak czuje się mama? – zmieniłam temat, bagatelizując jej tłumaczenia.

– Jak zwykle – mruknęła markotnie. – Postępu nie ma.

– Niestety, nie ma co liczyć na cud.

Byłam realistką. Gdybyśmy żyli w Marrakeszu, a ojciec pełnił funkcję imama w tamtejszym meczecie, nie doszłoby do takiej sytuacji. Nasza matka nie była chora, a zaniedbana przez brak leczenia. Urodziła Sanę, później mnie, rok po roku. Przez dziesięć kolejnych lat bardzo chorowała, a przez to nie mogła do-

[1] *Adhan* (arab.) – wezwanie wyznawców islamu do modlitwy (*salat*), która należy do obowiązków każdego muzułmanina.

nosić żadnej z ciąż. W końcu ojciec zabrał ją do Marrakeszu, na badania. Pomogli.

Mama urodziła jeszcze trzy dziewczynki. Kolejny raz rok po roku. To ją zniszczyło, fizycznie i psychicznie. Na szczęście Maya się urodziła, kiedy miałam dziewięć lat, więc mogłam już pomóc starszej siostrze. Później doszła Nadia i jeszcze Yasmin. Mama straciła zęby i włosy, prawie nie jadła, była cieniem człowieka. Pamiętam, że kiedyś lubiła czesać mi włosy i cicho przy tym nucić. Przy młodszym rodzeństwie już tego nie robiła, jakby kolejne ciąże odebrały jej wolę życia.

Ojciec już nie był skory wieźć jej do lekarzy. Stwierdził, że regionalny *tabib*[1] jej wystarczy. I tak minęła dekada, a poprawy nikt nie dostrzegł.

Po kąpieli, która przyniosła mi nieopisane ukojenie, postanowiłam zajrzeć do rodzicielki. Mama nigdy nie leżała w łóżku. Często siedziała przy swoich robótkach ręcznych, które kochałam równie mocno co ona.

– Mamo… – szepnęłam po otwarciu drzwi – jesteś głodna?

– Nie – odparła zamyślona i spojrzała na materiał, który kupiłam jej tydzień temu. – Myślę nad uszyciem czegoś.

– A co chcesz uszyć?

Stwierdziłam, że to dobry znak, bo zainteresowała się niewielką ilością materiału, na którą było mnie stać.

– Może tunikę…

– Może…

Nie dokończyłam, bo rozległo się łomotanie do drzwi. Opuściłam pokój matki, ruszyłam w ich stronę, a po drodze nałożyłam hidżab. Wprawdzie byłam w swoim domu, ale nie wypadało otwierać drzwi mężczyźnie w niepełnym stroju.

---

[1] W wielu marokańskich wioskach można spotkać tabibów, czyli tradycyjnych uzdrowicieli, którzy stosują wiedzę przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Tabibowie leczą różne dolegliwości za pomocą ziół, roślin leczniczych, naparów, okładów, masaży i innych naturalnych metod. Często korzystają z lokalnych roślin, które mają właściwości lecznicze i są szeroko stosowane w tradycyjnej medycynie marokańskiej.

I moje szczęście, że to uczyniłam, bo na zewnątrz stał Tariq, syn muezina.

– Cześć – przywitałam się, ale nie otworzyłam szerzej drzwi.

Chłopak był w moim wieku, co ja, a w domu przebywały same kobiety. Jego wejście do środka ktoś mógłby źle zinterpretować.

– Witaj, Saro – odpowiedział uprzejmie i uśmiechnął się delikatnie. – Naser wysłał mnie do was…

– Ojciec? – zdziwiłam się, a po chwili zreflektowałam. – Przepraszam, nie powinnam ci przerywać.

– Rozumiem – mruknął, lecz nieco ostrzej. – Naser mnie wysłał z informacją, że na kolacji będziecie mieli gościa, a więc obowiązuje pełny strój.

– Dobrze – przytaknęłam, by ojciec nie chodził zafrasowany, czy aby na pewno się dostosujemy.

– Prosił też, aby wasza matka dołączyła do kolacji. – Tariq zrobił krok do tyłu. – To ponoć ktoś ważny – szepnął i puścił do mnie oczko.

– Dziękuję za informacje, będziemy przygotowane.

Byłam nieco zawstydzona śmiałością Tariqa i patrzyłam na niego, gdy się oddalał z kuchni. Musiałam dopilnować, by tylko nie zamknąć mu drzwi przed nosem.

– Poszedł? – krzyknęła przebywająca w kuchni Sana.

– Poszedł – westchnęłam, zatrzaskując je. – Słyszałaś?

– Tak! – prawie warknęła. – Pomożesz mi z tą kolacją?

Umowa była taka, że ja idę do wioski, a później mogę uszyć kilka elementów nowego portfela. To Sana miała gotować. Przecież jeden człowiek więcej na kolacji nie powinien jej sprawić problemu.

– Brzuch boli mnie coraz bardziej – stęknęła teatralnie.

– Kiedyś Allah cię ukaże – mruknęłam pod nosem. – Idę! – odkrzyknęłam zawiedziona, że nie będę miała chwili dla siebie.

– A zabijesz kurę? – zapytała błagalnie.

Na co dzień nie jedliśmy mięsa, lecz na kolacji musiał pojawić się ktoś ważny, skoro Tariq przybył z informacją. Zazwyczaj

to ojciec zabijał zwierzę, ja byłam od dojenia krów i podbierania jajek.

– Zabiję – sapnęłam tuż nad jej uchem.

Mordowałam się z na wpół latającym zwierzęciem ponad godzinę. Najgorsze, gdy poderżnęłam wściekłej kurze gardło, a ona próbowała wyskoczyć mi z rąk. Szamocząc się w moim żelaznym uścisku, pocharatała mi pazurami przedramiona, do tego zniszczyła odzież. W końcu padła, dzięki czemu mogłam spuścić krew i wziąć się za oskubanie. Niestety to wszystko robiłam na zewnątrz, przez co musiałam mieć na sobie hidżab, a upał wcale nie ustępował.

Dziewczynki dowiedziawszy się o gościu, pobiegły na pobliską łąkę, zapewniając, że dostarczą mleka i ziół. Nie było ich cztery godziny, przez co nie tylko martwiłam się o nie, ale bardziej obawiałam się złości ojca, gdy wróci i ich nie zastanie. W takim przypadku czekałaby mnie kara. Mnie i Sanę, bo to my byłyśmy odpowiedzialne za młodsze rodzeństwo.

Nawet nie miałam sił krzyczeć, gdy Maya, Nadia i Yasmin dostarczyły nam mleka i ziół, za to wyglądały jak siedem nieszczęść, umorusane w trawie i łajnie. Kazałam im wskoczyć do balii i doprowadzić się do stanu ludzi cywilizowanych.

Zdziwiłam się, słysząc warkot samochodu. Oczywiście wiedziałam, czym jest auto, tylko w naszej wiosce były one rzadkością. Ojciec swoją starą lagunę sprzedał prawie dekadę temu, bo koszty napraw i utrzymania przewyższały nasz skromny budżet. Poza tym często powtarzał, że rower jest najmądrzejszym rozwiązaniem cywilizacji.

– Ale fura – szepnęła z zachwytem Sana.

– Odejdź od okna – upomniałam ją. – To bardzo niełądnie zachwycać się bogactwem.

– Mówisz tak, bo sama byś chciała mieć takie cudo – żachnęła się teatralnie, ale od okna odeszła.

W ostatnim momencie przypomniałam sobie o słowach Tariqa i pobiegłam do pokoju mamy. Rodzicielka siedziała i wpatry-

wała się w ścianę. Wyjęłam z szafy hidżab i zaczęłam okręcać go wokół jej głowy.

– Ojciec przyjechał z gościem i życzy sobie twojej obecności – zakomunikowałam, rąbiąc kolejne okręcenie materiału.

– Z lekarzem? – zapytała z nadzieją.

– Mam nadzieję – skłamałam, bo nie wierzyłam, aby ojciec sprowadził lekarza. Jemu było tak wygodnie. – Chodźmy – poleciłam.

– Chodźmy – potwierdziła z nadzieją.

Kiedy weszłyśmy do salonu, ojciec zmierzył mnie nieprzychylnym spojrzeniem i zwrócił się do mężczyzny:

– To Sara, młodsza z córek, oraz moja żona. A teraz zapraszam na kolację.

– Nie mógłbym odmówić – zamruczał nieznajomy i potarł dłonie o siebie. – Wszystko tak pysznie wygląda.

– Sana to wszystko przygotowała, wspaniała dziewczyna. – Ojciec skierował wzrok na moją starszą siostrę i się uśmiechnął. – Będzie dobrą żoną.

Przeszły mnie nieprzyjemne dreszcze. Wiedziałam, że ojciec odmówił kilku wioskowym kandydatom na męża dla siostry, a nawet dla mnie. Wszak miałyśmy ponad dwadzieścia lat. Z początku myślałam, że jemu zależy na naszej pomocy, ale raz, tylko ten jeden jedyny wyznał, że byle komu nas nie odda.

Spojrzałam na mężczyznę. Zdecydowanie zbliżał się do czterdziestki. Był przystojny, miał na sobie porządnie skrojony garnitur i jeździł drogim autem. Na pewno nie był byle kim.

– Mój klient urodził się w Rabacie, ale jako dziecko wyemigrował na południe Francji – zakomunikował nasz gość, patrząc raz na ojca, raz na matkę, a niekiedy obdarzał spojrzeniem Sanę. – Jako siedemnastoletni młodzieniec podpisał lukratywny kontrakt i całą rodziną przenieśli się do Stanów.

Sana pisnęła cichutko, co próbowała zatuszować kaszlnięciem, ale mnie nie była w stanie nabrać. Właśnie się dowiedziała, że jej przyszły mąż to jakiś ważniak.

– Mogę was zapewnić, że został wychowany zgodnie z tra-

dycją islamu i właśnie to go skłoniło do poszukiwań żony na ziemiach przodków – rozgadał się na całego, wychwalając przyszłego męża Sany. – Wiecie, państwo… – zawahał się – zepsucie jest wszędzie, ale w Stanach… – Pokręcił głową.

– Mądry mężczyzna – mruknął z uznaniem ojciec.

– Dzisiaj podjął tę samą decyzję, co przez wymianę mailową – dorzucił z entuzjazmem nasz gość. – Wiedzą państwo, że wiele kobiet korzysta z naszych usług, tak jak i wielu mężczyzn znajduje wspaniałe żony dzięki naszej działalności.

– A czym się zajmuje? – Ojciec zerknął na mężczyznę.

– Obecnie przeszedł na zawodową emeryturę – sapnął gość.

Zacisnęłam usta, aby nie pisnąć, zupełnie jak Sana przed chwilą.

– Ma trzydzieści pięć lat, lecz w boksie nigdy nie wiadomo, kiedy nastanie kres zarobku w tej branży. Obecnie planuje ulokować zarobione pieniądze we własną firmę. Nie był żonaty, nie ma potomstwa.

– Dobrze, to dobrze – mruczał pod nosem ojciec, coraz mocniej zafascynowany przyszłym mężem Sany, lecz ja wiedziałam swoje. Ojciec się cieszył, że mężczyzna nie miał spadkobiercy ani zobowiązań. – Możemy jeść? – zreflektował się, bo zamiast zaproponować to od razu, on najpierw przeszedł do interesów. – Mógłby pan również zrobić zdjęcie Sary.

O mało co nie wypuściłam łyżki z dłoni.

– To może jutro? – Mężczyzna spojrzał na mnie i uniósł kąciki ust. – Przyjadę z panem El-Manim i przy okazji zrobię zdjęcie młodszej z córek.

– Tak – zgodził się ostrożnie ojciec. – Jedzmy. *Bismillah*[1]!

– *Bismillah* – potwierdzili wszyscy.

Kolacja była przesiąknięta pytaniami ojca i odpowiedziami mężczyzny. Rozmawiali głównie o sporcie, który uprawiał przyszły mąż Sany. Siostra czerwieniła się niczym zachodzące słońce, targało nią szczęście. Mnie przerażała osoba byłego boksera.

[1] W tradycji muzułmańskiej, gdy ktoś życzy smacznego posiłku, powszechnie używa się zwrotu *Bismillah*, co oznacza „W imię Boga".

Wiedziałam, że ojciec jest wniebowzięty na samą myśl o wielkości *mahru*[1], a Sana – zachwycona wizją świetlanej przyszłości u boku bogatego męża. Chyba nie wierzyła w szczęście i miłość, podczas gdy ja wciąż byłam naiwna i miałam cichą nadzieję, że kiedy przyjdzie mój czas ożenku, będę mogła powiedzieć, że nie tylko szanuję swojego męża, ale widzę w nim człowieka, w którym jestem gotowa się zakochać.

Nasz gość opuścił domostwo tuż przed północą. Wyglądał na zmęczonego natłokiem pytań, ale odmówił ojcu, gdy ten zaproponował mu nocleg. Zapowiedział, że jutro po piętnastej pojawi się ponownie, tym razem z wybrankiem i jego przyjacielem. Po tej informacji pożegnał się z nami i odjechał.

Poprosiłam dziewczynki, aby zajęły się mamą, pomogły jej się przebrać i umyć, a same z siostrą zabrałyśmy się za sprzątanie po kolacji. Sana trajkotała jak szalona, lecz często odpływałam i wizualizowałam w głowie kształt i wielkość skórzanej portmonetki. Już za kilka miesięcy czekał nas rytualny ubój barana, co wiązało się z możliwością pozyskania skóry dobrego gatunku. Wprawdzie ojciec zawsze oddawał obrobioną skórę do skupu, ale za każdym razem podczas obróbki udawało mi się uszczknąć kilka wartościowych skrawków.

– Ciekawe, jak wielki będzie *mahr*. – Siostra wspomniała o pieniądzach, a ja dopiero w tym momencie byłam w stanie się skupić.

– Wiesz, że go nie dostaniesz – mruknęłam.

– Ale przecież… – żachnęła się i rozlała nieco wody na posadzkę. Nie lubiłam, gdy zmywała, bo wszędzie były kałuże.

– Ojciec odprawił kilku absztyfikantów, bo uważał, że *mahr* był za mały – przypomniałam jej z niesmakiem. – Dla niego – podkreśliłam. – I nie spodziewaj się, że ci go odda.

---

[1] *mahr* (arab.) – pojęcie w islamie oznaczające posag lub prezent małżeński, który mężczyzna daje kobiecie w ramach małżeństwa. Jest to obowiązkowy element, który ma na celu zapewnienie kobiecie finansowego bezpieczeństwa i wyraża szacunek do niej jako osoby.

Siostra uniosła głowę i wzruszyła ramionami.

– Za to czeka mnie dostatnie życie – stwierdziła dumnie.

Nie zgadzałam się z nią, bo jak wspomniałam, byłam realistką. I nie kupiłam tej słodkiej opowieści o księciu zza oceanu, co został zmuszony do szukania właściwej kobiety w kraju, z którego pochodził. On szukał bezgranicznego posłuszeństwa, tak to widziałam.